



Wydawnictwo Dialog (c) Copyright wersja elektroniczna

Anita Rau Badami

Prawdziwy bohater



Canada



Department of Foreign Affairs
and International Trade

Ministère des Affaires étrangères
et du Commerce international

Anita Rau Badami

Prawdziwy bohater

Przełożyła
Danuta Stasik

Wydawnictwo Dialog (c) Copyright wersja elektroniczna

Wydawnictwo Akademickie

DIALOG



Tytuł oryginału:
The Hero's Walk

Copyright © 2000 by Anita Rau Badami

Copyright © for the Polish editon by Wydawnictwo Akademickie DIALOG

Redakcja i korekta:
Elżbieta Walter

Okładka:
Kinga Walter
Skład i łamanie:
Marcin Hołdak

ISBN epub 978-83-8002-482-3

ISBN mWy 978-83-8002-482-3
Wydawnictwo Dialog (c) Copyright wersja elektroniczna

Wydawnictwo Akademickie Dialog
00-112 Warszawa, ul. Bagno 3/218
tel./faks 620 87 03
e-mail: redakcja@wydawnictwodialog.pl
<http://wydawnictwodialog.pl/>

Wydanie elektroniczne, Warszawa 2015

Spis treści

[1. Na brzegu morza](#)

[2. Poranek w Dużym Domu](#)

3. Burza

4. Opowieści

5. Lustrzane odbicia

6. Maja

7. Podróż

8. Odcienie niebieskiego

9. Przyjazd córki

10. Zmieniające się wzory

11. Partia dla Putti

Wydawnictwo Dialog (c) Copyright wersja elektroniczna

12. Zwyczajny człowiek

13. Królowa bandytów

14. Nieznane drogi

15. Pieśń za tych, co odeszli

16. Bilet, żeby uciec

17. Do tunelu

18. Droga do domu

19. Ccco to będzie?

20. Nowy dzień

21. Powódź

22. Serce morza

Wydawnictwo Dialog (c) Copyright wersja elektroniczna



Dla Aditji

Na brzegu morza



Była dopiero piąta rano w lipcowy dzień w Toturpuram, a wszelkie oznaki nocy już zniknęły. Słońce nabrzmiało, stopione z odległym horyzontem. Fale drżały na piasku, pozostawiając powyginane smugi złotej piany, która niemal natychmiast wysychała. Wzdłuż całej plaży rybacy wyciągali na brzeg łodzie i opróżniali sieci z nocnego połowu. Ich matki, żony, córki i siostry usypywały stosy krewetek, krabów, homarów i ryb w wielkich wilgotnych koszach zalatujących zapachem ładunku z poprzedniego dnia. Później, pozostawiwszy połyskujące łuski i rozłupane muszle jako łup dla wron, łapały pierwszy autobus jadący na rynek i śmiały się, kiedy inni pasażerowie pośpiesznie przesuwali się do przodu, robiąc miejsce im i ich „wonnemu” towarowi.

Za parę godzin nad miastem zawiśnie upał niczym długie, mokre prześcieradło. Pot będzie się ludziom lał spod kolan, pach, z wgłębień na karku i kapał im z czół. Spocone uda przykleją się do krzeseł i przy wstawaniu będą wydawały nieprzyzwoite ssące odgłosy. Tylko idioci odważą się wyjść do pracy, a gdy już tam dotrą, będą siedzieli przy biurkach zamroczeni i beczynni, bo z powodu przerwy w dostawie prądu nie będą działać wiatraki pod sufitem. Nie będzie można zmrużyć oka i nie poczuć się słabo. Co mądrzejsi zostaną w domu

i ubrani tylko w bieliznę, z mokrym płótnem na głowie i piersiach, będą popijać litrami sok z kokosa i wachlować się gazetami.

Choć była już połowa lipca, w tej miejscinie, która przycupnęła nad brzegiem Zatoki Bengalskiej w odległości trzech godzin jazdy autobusem od Madrasu, nie pojawił się jeszcze monsun południowo-zachodni, przynoszący niewielką ulgę pomiędzy okresami upałów. Całe Toturpuram tęskniło więc za grudniem, kiedy z rykiem nadejdzie monsun północno-wschodni. Wspomnienie tych chłodnych, wilgotnych poranków było tak podniecające, że wszyscy zapominali o tym, iż grudzień był zarazem początkiem okresu cyklonów, kiedy wiatr wieje z prędkością 150 kilometrów na godzinę, miażdżąc wszystko, co stoi mu na drodze. Nie pamiętali o ulewnych deszczach, które powalały linie energetyczne i pogrążały miasto w cuchnącej, płynnej ciemności. Zapominali także o tym, że morze staje się wtedy niebotyczną zieloną ścianą wody, która rozmywa plażę i zalewa miasto, zamieniając ulice w ścieki i przynosząc czerwonkę oraz biegunkę. Czasem było tyle wody, że w całym mieście eksplodowały szamba i ludzie budzili się pośrodku nocy, aby stwierdzić, że ich dobytek pływa w fekaliach.

Dzisiaj światło poranka wydobyło z tej zapuszczonej miejsciny subtelne piękno. Nawet dziesiątki kanciastych bloków mieszkalnych, ciągnących się bez wyrazu od plaży aż do Dużego Domu na ulicy Braminów, straciły ostrość w porannym blasku. Snopy anten telewizyjnych jeżyły się na dachach bloków i zapłonęły, kiedy weszło słońce. Duży Dom jako jedyny na tej ulicy nie mógł się poszczycić anteną. Śripati Rao, jego właściciel, kilka lat temu z ociąganiem kupił telewizor, ale był to stary model tylko z anteną pokojową. Jego matka, Ammajja^[1], czuła się rozczarowana.

- Nikt nawet nie będzie wiedział, że mamy telewizor - protestowała. - Co za pożytek z posiadania czegoś, jeśli nikt o tym nie wie?

Śripati pozostawał niewzruszony.

- Dopóki odbierasz swoje ulubione programy, czy to ważne, że ktoś wie, co mamy? Poza tym, tylko na to mnie stać.

- Gdybyś mnie posłuchał i został znanym lekarzem, wcale byś nie mówił, na co cię stać, a na co nie - gderła matka. Nigdy nie traciła okazji, żeby mu wypomnieć, jakim był dla niej rozczarowaniem.

- Nawet gdybym był Birlą, kupiłbym właśnie ten telewizor - przekonywał ją Śripati. Mógłby być też Tata czy Ambanim, albo którymkolwiek z innych wielkich indyjskich potentatów biznesu. Nie był zwolennikiem ostentacyjnych demonstracji - zarówno uczuć, jak i majątku.

Wydawnictwo Dialog (c) Copyright wersja elektroniczna

Kiedy telefon zadzwonił tego dnia po raz pierwszy, Śripati był na balkonie swojego domu. Jak zwykle zbudził się o czwartej rano i teraz czytał gazetę, zaznaczając interesujące pozycje czerwonym markerem. Znieruchomiał na dźwięk wysokiego, przerywanego, wibrującego dzwonka, ale nie ruszył się, by zejść do stojącego na półpiętrze aparatu. Czekał, aż telefon odbierze ktoś inny. Wokoło było dość ludzi, włączając w to - myślał z pewną irytacją - jego syna Aruna, który spał w pokoju po przeciwnej stronie korytarza.

Później Śripati zastanawiał się, dlaczego nie tknęło go żadne przeczucie. Pamiętał, jak się czuł wcześniej za każdym razem, kiedy nadchodziła jakaś tragedia. Jaki był niespokojny na dzień przed tym, kiedy na Andal Street znaleziono pozbawione oznak życia ciało jego ojca i jak dziwny zbieg okoliczności zaprowadził go następnego ranka właśnie w to miejsce, gdzie dołączył do zgromadzonego wokół tłumu

ciekawskich. Tak samo zanim jego ukochaną babcię Śantammę zabrał bóg śmierci, przez kilka nocy dręczyły go niespokojne sny. Czyż nieszczęść nie zwiastuje zawsze chwila niezmiernej jasności lub też koszmar nocny, który z płaczem wyrywa cię ze snu? Tym razem jednak nie doświadczył niczego takiego.

Telefon przez cały czas dzwonił, działając Śripatiemu na nerwy.

- Arun! - wrzasnął, odchylając się w fotelu tak, aby przez drzwi balkonowe widzieć całą sypialnię. - Odbierz telefon! Nie słyszysz? - Odpowiedzi nie było. - Idiota, przesypia całe życie - mruknął. Odsunął krzesło od kwadratowego żelaznego stołu, na którym ułożył swoje przybory do pisania, i wstał, pochylając zaokrąglone plecy. W młodości odkrył, że był wyższy niż wszyscy koledzy, a ponieważ nie cierpiał w jakikolwiek sposób się wyróżniać czy rzucać w oczy, zaczął się garbić. Jego grube, posiwiałe włosy były strzyżone możliwie najkrócej przez Szekspira Kuppallura, fryzjera z Tagore Street. Na twarzy, zdominowanej przez haczykowaty nos i duże, wilgotne oczy, zadomowił się wyraz rozczarowania. Z łagodnością oczu zaskakująco kontrastowała wąska, surowa linia ust. Kiedyś podczas kłótni jego żona Nirmala zauważyła, że wyglądają jak zamknięta na suwak portmonetka. Pamięta, jak zdumiało go to porównanie. Zawsze bowiem uważał, że jego żona jest podobna do kostki mydła Lifebuoy - użyteczna, ale pozbawiona wyobraźni.

Przemknęło mu przez myśl, że być może dzwoni Maja, jego córka mieszkająca w Vancouver, i zatrzymał się, przechodząc przez sypialnię. Jeśli tak, nie chciał podnosić słuchawki. Jego wzrok padł na zdjęcie córki z jej cudzoziemskim mężem i ich dzieckiem, stojące na parapecie przy łóżku od strony Nirmali, i natychmiast jego nastrój zabarwił smak goryczy. Codziennie, kiedy tylko nadarzyła się okazja, kładł fotografię

na parapecie zdjęciem do dołu i nakrywał ją książkami, czując, że zachowuje się jak dziecko, gdyż Nirmala i tak ją podnosiła i ustawiała na miejscu. Ale, przypomniał sobie, Maja telefonowała zawsze w niedzielę w pół do siódmej rano, bo wiedziała, że matka będzie czekać tuż przy telefonie, siedząc na zimnej, wykładanej kamiennymi płytami podłodze półpiętra. I każdej niedzieli, już od kilku lat, Śripati unikał tej chwili, wychodząc dwadzieścia po szóstej na spacer.

Jego młodsza siostra Putti, która także była gdzieś na dole, bała się odbierać telefon.

- Nie wiem, jak mówić do tej rzeczy - wyjaśniła raz bratu z zakłopotaniem malującym się na okrągłej, dziecinnej twarzy. - Poza tym, nigdy nie dzwonią do mnie.

Smutna prawda, do której musiała się głośno przyznać, pomyślał wtedy, czując się winny, że jako starszy brat nie wypełnił obowiązku i nie znalazł jej męża. Po czterdziestu dwóch latach życia w Toturpuram Putti nie miała nikogo, kogo mogłaby nazwać przyjaciółką. Być może poza tą okropną bibliotekarką, panną Ćintamani.

Matka Śripatiego twierdziła, że jest zbyt stara, aby wchodzić po schodach, ale Nirmala upierała się, że Ammajja oszukuje i że kiedy jest sama w domu, regularnie wchodzi na górę, aby tam myszkować.

- Podkrada moje sari - narzekała Nirmala. - I znalazłam swój grzebień pod jej materacem. A co, może sam się tam schował?

Telefon przestał dzwonić i cisza ponownie spowiła dom. Śripati wrócił na balkon i usadowił się na wypłowiałym trzcinowym fotelu, który przetrwał co najmniej dwadzieścia lat intensywnego słońca i deszczu. Podniósł z powrotem „The Hindu” i zaczął uważnie czytać, zaznaczając artykuły, które chciał skomentować.

Słyszał cichą muzykę dobiegającą z bloków obok domu – cienkie nutki niemal natychmiast zagłuszone dźwiękiem dzwonu ze świątyni Krysny, który rywalizował z nosowym nawoływaniem muły z Meczetu Tysiąca Świateł stojącym przy równoległej ulicy. Do świątyni prowadziła droga prosto z Dużego Domu. Wybudował go osiemdziesiąt dwa lata temu dziadek Śripatiego przy ulicy, którą zaczęto nazywać ulicą Braminów z powodu mieszkającej na niej dużej liczby ludzi z tej kasty. Jednakże kiedy partia rządząca zwyciężyła w wyborach stanowych, przyjęła uchwałę, że nazwy ulic nie mogą wskazywać na określoną kastę. Tak więc ulica Braminów była teraz po prostu Ulicą, podobnie zresztą jak ulica Lingajatów, Mudalijarów i z pół tuzina innych w Toturpuram. Doprowadziło to do wielkiego narzekania przyjezdnych, którym zwykle pół dnia schodziło na błędzeniu po mieście i próbie zorientowania się, która Ulica jest którą. W dodatku ulica Braminów tak bardzo zmieniła się w ostatniej dekadzie, że ludzie powracający tu po paru latach ledwie mogli ją rozpoznać. Zamiast delikatnego zapachu świeżego jaśminu, kadzideł i prawości, zamiast śpiewu świętych hymnów, wypełniała ją wrzawa targujących się sprzedawców tkanin i warzyw oraz piskliwe tony najnowszych przebojów muzyki filmowej dobiegającej z salonów wideo, których okna pyszniły się jaskrawymi plakatami z piersiastymi heroinami o grubych udach i z muskularnymi bohaterami o fryzurach wznoszących się nad ich głowami niczym kłęby dymu.

Starsi mieszkańcy Toturpuram pamiętali, jak piękny był niegdyś Duży Dom – czyste, solidne mury, malowane na różowo każdego roku przed świętem Dipawali, szeroka weranda i kilka balkonów od frontu oraz wzdłuż bocznych ścian, wszystkie otoczone malowanymi żeliwnymi balustradami odlanymi w kształcie ryb i kwiatów lotosu

unoszących się na stylizowanych falach. Olbrzymie rzeźbione drzwi z drewna tekowego zrobiono na specjalne zamówienie i w przeszłości co roku lakierowano. Okna miały witrażowe szyby, które dziadek Śripatiego kupił od pewnej brytyjskiej rodziny po tym, jak na kilka lat przed uzyskaniem przez Indie niepodległości wyczuła wiatr przemian i wróciła do Anglii. Od śmierci ojca dom popadł w stan swoistego zaniedbania i wyglądał, jakby był zmęczony życiem toczącym się i w jego wnętrzu, i na wrzącej, niespokojnej ulicy. „Gdyby mój mąż żył, nie zniżylibyśmy się do tego poziomu”, narzekała Ammajja do swoich serdecznych przyjaciółek, niby to przypadkiem zapominając, że to wyłącznie Narasinha Rao był odpowiedzialny za ich upadek.

Farba złuszczyła się z ozdobnych poręczy, ukazując ich powierzchnie całe spękane od rdzy. Drzwi straciły blask, a piękne rzeźbienia stały się teraz anonimowymi kawałkami drewna. Wykładaną płytami podłogę przecinały pęknięcia niczym żyłaki na nogach starej kobiety, a lata całe upłynęły od chwili, kiedy ściany widziały świeżą warstwę wapna lub farby. Większości okien nie można było już otworzyć, tak napęczniały w tutejszym wilgotnym upale, a jasność szkła przyćmiły warstwy tłuszczu i brudu. Zaklinowane okna odcinały jednak od nieustannego zgiełku ruchliwej ulicy oraz muzyki religijnej, którą grano do późna w nocy w miejscowych świątyniach, tak więc nikt nie próbował ich wywazać. Wysoka żelazna brama była na stałe zablokowana stertami granitu lub żwiru zrzuconego przez kierowców ciężarówek z budowy, którym, jak się wydaje, złośliwą przyjemność sprawia to, że czynią stary dom niedostępnym, chylącym się ku wnętrzu, jakby powoli poddającym się presji agresywnego nowego świata na zewnątrz.

Dzwon świątynny nadal hałasował i Śripati z irytacją zaszeleścił gazetą. Parę miesięcy temu bicie dzwonu wcale mu nie przeszkadzało. Ostatnio jednak jakiś wiemy dał pieniądze na parę głośników i dzwonienie stało się ogłuszające. Śripati poskarżył się zarządcom świątyni, ale nikt nic w tej sprawie nie zrobił.

- Ależ panie Śripati! - powiedział główny kapłan ze swym świątobliwym uśmiechem. - To boża muzyka. Jak można się jej sprzeciwiać? Nikt inny się nie skarżył. Powinien się pan nauczyć większej tolerancji. A może wolno mi przypomnieć, że to sam pański szanowny dziadek zakupił ten dzwon dla naszej świątyni?

- Tak, wiem to wszystko - Śripati miał przykrą świadomość, że kapłan insynuuje, iż nie jest tak szczodry dla świątyni jak dziadek, a nawet ojciec. Rzeczywiście Śripati unikał wizyt w świątyni, kiedy tylko się dało, i odmawiał składania ofiary na tacę z art^[2] większej niż pięćdziesiąt pajs^[3], gdy w końcu Nirmala zmusiła go, żeby z nią poszedł. - Pytam tylko, dlaczego musicie robić to tak głośno? Bóg chyba nie jest głuchy?

- Co robić? Meczet ma głośniki. Także świątynia Ganeśi. Proszę mi więc powiedzieć, jak nasz Pan Kryszna usłyszy nas wśród tej całej rywalizacji? - Kapłan wzruszył na odczepne ramionami.

Dzwon wreszcie umilkł. Nastąpiła krucha cisza. Śripati słyszał teraz tylko odgłosy wiewiórek biegających z góry na dół i z dołu do góry po starym drzewie limonowym rosnącym tuż pod balkonem oraz płynne trele kolorowej lory, dobiegające z zaniedbanego ogrodu za domem. Pamiętał, jaki zadbany był ten ogród przed wyjazdem jego córki do Ameryki. Maja razem z Nirmalą z czułością dbały o mangowce, guawy, bananowce i palmy kokosowe, a w nagrodę miały stałe zaopatrzenie w owoce.

Śripati potrząsnął głową, żeby odegnać wspomnienia, przeszedł do ostatniej strony gazety i szybko ją przejrzał. Indyjska reprezentacja narodowa krykieta wypadła żałośnie w meczu z drużyną Indii Zachodnich. Choć specjalnie się nie interesował sportem, gorączka krykietowa, która ogarniała kraj w czasie meczów reprezentacji, udzielała się także jemu. Inaczej jednak niż jego koledzy, nie spędzał przerwy obiadowej z radiem tranzystorowym przyklejonym do ucha, przeklinając za każdym razem, kiedy indyjskim graczom się nie wiodło, lub wpadając w stan ekstazy, kiedy im szło dobrze. Śripati czytał dział sportowy, gdyż dbał o to, by być na bieżąco ze wszystkim, co się działo w otaczającym go świecie. Poza tym na stronie sportowej mógł się kryć temat potencjalnego listu do redakcji.

Śripati odkrył w młodości, że pisanie listów do redakcji gazet i czasopism jest doskonałym sposobem, aby dać upust złości i wyrazić swe najgłębiej skrywane myśli – owe drażniące, kłopotliwe uczucia, których okazywania tak unikał w mowie lub czynie. Mógł pisać absolutnie o wszystkim pod słońcem i czasami jego poglądy znajdowały wyraz w druku. Przez kilka ostatnich lat Śripati czuł, że jego pisanie znacznie dojrzało i, ku jego zachwytowi, prawie każdy list, jaki pośpiesznie kreślił do „The Indian Express”, „The Hindu” lub „The Toturpuram Chronicle”, był publikowany. Tak więc co ranka otwierał gazetę z rozkosznym uczuciem oczekiwania. I dopiero kiedy już przeczytał pierwszą stronę i drugą, i trzecią, przewracał gazetę na dział listów do redakcji, odkładając tę chwilę tak długo, jak tylko mógł, i czuł dreszcz, gdy gdzieś w ostatnim wierszu zauważał swój podpis – Pro Bono Publico. Czytał swój tekst ponownie, zdziwiony tym, jak inny i daleki wydawał się w druku. Potem przeglądał pozostałe listy

i wydymał długą górną wargę przy szczególnie słabo napisanym tekście albo źle uzasadnionym poglądzie.

Śripati był szczególnie zadowolony ze swojego pseudonimu. Znalazł go w starym czasopiśmie prawniczym, które jego ojciec buchnął z biblioteki publicznej. Pro Bono Publico! Dla dobra ogółu! Podobnie jak jego ulubieni bohaterowie z dzieciństwa - Scarlet Pimpernel, Zorro, Dżhanda Sinh „Niewidzialny” - prowadził świętą wojnę, był wojownikiem, ale takim, który próbował rozwiązać problemy świata za pomocą pióra i atramentu, a nie miecza, pistoletu czy pięści.

Pisał codziennie o wszystkim, co zwróciło jego uwagę - od śmieci porzucanych na drogach po korupcję w rządzie, od zabawnego komentarza na temat ostatniego hitu filmowego po wyraz hołdu ku czci słynnego muzyka, którego głos wypełniał jego duszę rozkoszą.

Wydawnictwo Dialog (c) Copyright wersja elektroniczna
Śripati sięgnął po sporą drewnianą kasetkę stojącą na stole przed nim. Tak jak wszystko inne w Dużym Domu kasetka ta była w rodzinie tak długo, jak tylko sięgał pamięcią. Uwielbiał jej gładkie krawędzie, okazały ciężar i masywny klucz, który ją zamykał. Otworzył wieczko i zdjął górną część, w której trzymał swoją kolekcję piór, kilka zatemperowanych ołówków, parę gumek i scyzoryk. Niżej znajdowała się jeszcze przegródka na papier. Była tam także sekretna szufladka, którą otwierało się przez przesunięcie listewki z boku kasetki. Szuflada była pusta. Dawno temu, kiedy Maja - a może był to Arun - spytała, dlaczego nic w niej nie trzyma, odpowiedział: „Ponieważ jestem zbyt zwyczajny, żeby mieć sekrety”. Kasetka stała pod łóżkiem z jego strony, skąd wyjmował ją każdego ranka, kiedy zasiadał na balkonie.

Przypatrywał się piórom, które walczyły o przestrzeń w środku. Trzydzieści dwa świetne pióra i wciąż ich przybywało. To była jego

jedyna przyjemność, choć w tych czasach wysokich kosztów i skromnych możliwości uzupełniał kolekcję coraz rzadziej. Dotykał piór, jednego po drugim, podnosił ulubione i zastanawiał się, którego powinien użyć. Marmurkowo-błękitnego japońskiego hero? Czy złotego parkera? Do listów o polityce zawsze brał pióro marki Mhatre Writer – kolor kasztanowy wydawał mu się autorytatywny. Po kilku kolejnych sekundach rozgorączkowania zdecydował się jak zwykle na mhatre writera, nie chcąc odstępować od swoich przyzwyczajzeń. Jak przyjemnie ciążył między palcami, zaś zakrzywiona stalówka przydawała jego pismu ostrości, którą się delectował prawie pięćdziesiąt lat temu. Pisał swym zwykłym kwiecistym stylem, wyuczonym pod bambusowym kijem ojca Schmidta w Szkole dla Chłopców Św. Dominika.

Wydawnictwo Dialog (c) Copyright wersja elektroniczna
Droga Redakcjo!

Ulice nagle zapełniły się zielonymi drzewami, śmieci usunięto (po miesiącach ignorowania ich przez właściwe czynniki miejskie), a nasze mury pobielono w ciągu nocy. Nowy rząd? Rząd, który nagle zdał sobie sprawę, że jest z ludu, za sprawą ludu i dla ludu, i zdecydował się skończyć z przerwami na kawę i urlopami i zabrać do pracy? Och, nie! Niestety nie. Tę całą zdumiewającą pracę wykonano po to, by uczcić ślub syna premiera rządu stanowego...

Dopisał jeszcze kilka linijek i zamasyście się podpisał. Tak, to był dobry list. Mocny, jeśli chodzi o argumenty, i graniczący z sarkazmem, aby uczynić go prawdziwie przekonującym. Już miał go ponownie przeczytać, kiedy weszła Nirmala, rześka, szeleszcząc świeżo wyprasowanym różowym bawełnianym sari; jej czarne włosy ułożone w węzeł spływały na kark. Miała gładką twarz o łagodnym wyrazie,

której wygląd przeczył jej pięćdziesięciu dwom latom – sprawiała wrażenie dużo młodszej niż Sripati, choć było między nimi tylko pięć lat różnicy. Na szerokim czole miała okrągłe samoprzylepne bindi^[4]. Sripati pamiętał, że w przeszłości używała sproszkowanego cynobru. Już po swoich ablucjach pochylała się w łazience nad umywalką – jej pośladki mocno zarysowane pod prostą bawełną jej koszuli wzbudzały w Śripatim pożądanie – i opuszką środkowego palca nakładała odrobinę kremu Boroline na sam środek jeszcze ciepłego i wilgotnego czoła. Potem, równie ostrożnie, zanurzała ten sam palec w małym srebrnym pojemniczku z cynobrem i przyciskała do nakremowanego miejsca. Ale kilka lat temu także ona uległa nowoczesności i porzuciła swój kremowo-cynobrowy rytuał na rzecz pakiecików z nalepkami z włókniny, które stały się dostępne w olbrzymiej różnorodności kształtów, rozmiarów i kolorów. Od tej chwili Sripati prowadził z Nirmalą nieustający spór o bindi, które przylepiane przez nią na lustrze w łazience wyglądały jak dzioby po ospie wietrznej.

Podawała mu kubek z nierdzewnej stali z parującą kawą.

- Dlaczego nie odebrałaś telefonu? – spytała.

- A ty?

- Byłam zajęta opróżnianiem naczyń w kuchni. Dzisiaj będzie woda, pamiętasz? Jednocześnie próbowałam zrobić śniadanie, zanim twoja matka zacznie krzyczeć, że jest głodna. A ty jeszcze chcesz, żebym biegła odebrać telefon? Hę? A co ty takiego robiłeś, co nie mogło chwilę poczekać?

Zaczęła zbierać z balkonowego muru ręczniki rozłożone tam do wyschnięcia poprzedniego wieczoru. Kiedy się pochylała i z jej ramienia zsunął się luźny koniec sari, Śripatiemu mignęła przed oczami jej naga talia. Było na niej teraz parę dodatkowych fałd miękkiego ciała, choć

dobrze pamiętał, że w młodości talia Nirmali była głęboko wcięta nad biodrami. Nie mógł się powstrzymać i delikatnie uszczypnął jedną z fałdek, Nirmala podskoczyła, zdziwiona, i odtrąciła jego rękę.

- Ech, stary już, a z samego rana w głowie takie głupoty! - wykrzyknęła.

- Jakie głupoty? Po prostu przeprowadzałem test za pomocą uszczypnięcia. - W czwartkowym dziale zdrowia czytał o przeprowadzanym przez instruktorów fitnessu teście, mającym określić ilość tłuszczu, jakiej musieli się pozbyć ich klienci.

- Zapomniałam ci powiedzieć - Nirmala zignorowała jego przekomarzanie się. - Wczoraj wieczorem w świątyni widziałam Prakaśa Bhata z żoną. Tak niezręcznie się czułam. Udawali, że mnie nie widzą. Wyobrażasz sobie?

Śripati przechylił kubek i wlał strumieniem kawę z mlekiem do małej miseczki stojącej na stole, przerywając, zanim - spieniona - omal z niej nie wypłynęła. Wtedy przelał ją z powrotem do kubka. A potem - do miseczki i z miseczki, robił tak parę razy z dużą wprawą, dopóki na koniec nie wytworzyła się górka piany.

- Może naprawdę cię nie widzieli - powiedział do Nirmali. Wymyślasz sobie tyle różnych rzeczy.

- Nie wymyślam. Naprawdę mnie zignorowali. Nie jestem głupia, nawet jeśli nie mam ważnych stopni naukowych w tej czy tamtej dziedzinie. Prakaś mówił do mnie kiedyś „mamo”, pamiętasz? Prawie się ożenił z naszą Mają i patrz, co za brak szacunku wobec mnie. A ja myślałam, że to przyzwoity chłopak!

- No dobrze, więc cię widzieli! A teraz zostaw mnie samego. Mam pracę. - Nie chciał, aby mu przypominano o dawnych kłopotach. I niby dlaczego miałyby oczekiwać, że Prakaś okaże jakiegokolwiek

zainteresowanie matce kobiety, która pozbyła się go jak zużytego liścia bananowca? Dlaczego Nirmala nie ustawała w przywoływaniu wspomnień? Nieprzyjemne doświadczenia związane z tą sprawą pozostawiły po sobie gorzki smak.

Nirmala zniosła ręczniki do sypialni, ale nie przestawała mówić.

Żona Prakaśa wygląda bardzo zwyczajnie. Nos jak kartofel i malutkie oczka, ale za to dużo biżuterii. Tak jakby świecące kamienie mogły kogoś tak osłepić, żeby nie widział jej twarzy. Miała na sobie diamentowy naszyjnik. Pamiętasz, jak pięknie wyglądał na naszej Mai? A teraz ma go ta przysadzista kreatura. Ech!

Śripati rzucał gniewne spojrzenia za plecami Nirmali. Pochylała się teraz nad łóżkiem, rozprostowując pomarszczone prześcieradła.

- Mówiłem ci, przestań powracać do zapomnianych już spraw. Nie chcę o nich słuchać.

Wydawnictwo Dialog (c) Copyright wersja elektroniczna

Nirmala energicznie klepała poduszki i rozprostowywała je, z jedną dłonią przyciśniętą do krzyża, żeby ulżyć napięciu.

- Tak, tak, kiedy ja wysłuchuję co dzień nudnych opowieści biurowych, to jest w porządku - zaprotestowała. - Ale w chwili gdy ja otwieram usta, każesz mi milczeć. A tak w ogóle, to chciałam powiedzieć, że dziewczyna jest w ciąży. Rozmawiali z Kryszną Aćarją o odprawieniu ceremonii z bransoletkami^[5].

- Czy musisz podsłuchiwać prywatne rozmowy innych ludzi? Wścibskie osoby nigdy nie słyszą nic dobrego.

Nirmala wróciła na balkon, aby zabrać pusty kubek Śripatiego, i spojrzała na niego oburzona.

- Nie podsłuchiwałam. Kryszna Aćarja sam mi powiedział. Nie jesteś w stanie sobie wyobrazić, jak się poczułam.

- Dlaczego miałybyś się źle poczuć z powodu ceremonii odprawianej u kogoś obcego?

- Nie udawaj, że nie rozumiesz. Tą dziewczyną równie dobrze mogła być Maja i to ja bym rozmawiała z Kryszną Aćarją na temat kupna zielonych bransoletek, sari i innych rzeczy. Jaka ze mnie nieszczęsna kobieta! - Czekala, aż coś odpowie, ale Śripati zdecydował się zakończyć rozmowę, więc badawczym wzrokiem obrzuciła list na stole.

- Do kogo piszesz? - spytała.

Śripati szybko przykrył list kartką papieru, upewniając się, że jest całkowicie niewidoczny dla wścibskich oczu Nirmali. - Nie twój interes - powiedział. Widząc jednak pełne urazy spojrzenie, jakim go obdarzyła, dodał: - Muszę skończyć pewną pracę biurową. Nie przeszkadzaj mi teraz.

Wydawnictwo Dialog (c) Copyright wersja elektroniczna
Nirmala odwróciła się, skrywając uśmiech, ale Śripati zdążył go zauważyć.

- Co? Co? Śmiesz cię mój widok przy pracy? He? Jeszcze dziś przejdę na emeryturę i zobaczymy, czy wtedy będziesz się śmiała. Może dasz radę nas utrzymać ze swoich lekcji tańca?

Rok po wyjeździe Mai do Stanów Zjednoczonych Nirmala zgodziła się dawać córkom przyjaciółki lekcje bharata natjam^[6]. Zajęcia odbywały się dwa razy w tygodniu po szkole. Sama uczyła się tego tradycyjnego tańca, zanim nie wyszła za mąż. „Dobrze mi zrobi, jeśli przekażę to, co sama umiem” - odparła Śripatiemu z uporem, kiedy podśmiewał się, jak to, trzęsąc cielskiem, będzie brykać po domu. Wkrótce liczba uczennic zwiększyła się do sześciu i salon zaczął rozbrzmiewać tupaniem bosych stóp i uderzeń jej pałeczki, którą wybijała rytm na podłodze. Dwie podopieczne Nirmali otrzymały

stypendium w szkole bharata natjam, założonej przez słynną tancerkę z Madrasu, do której uczęszczali uczniowie z całych Indii i z zagranicy. Po Toturpuram rozeszła się wieść, że Nirmala jest odpowiednią osobą do nauki podstaw, zanim spróbuje się zdawać do tej szkoły. Kiedy pod jej drzwiami pojawiło się więcej rodziców, zdecydowała się pobierać niewielką opłatę. Była zadowolona, że zarabia dodatkowe pieniądze, choć nigdy nie powiedziała Śripatiemu, iż jego zarobki już nie wystarczają. Dobra hinduska żona powinna zachować pozory, że to mąż utrzymuje rodzinę.

Telefon znów zaczął dzwonić. Tym razem Śripati cisnął blokiem z papierem listowym o stół i szybko przemierzył pokój, dotykając zimnej podłogi piętami wystającymi poza końce znoszonych, gumowych kłapek.

- Jakby nie było nas stać na parę kłapek za dwadzieścia rupii -
Wydawnictwo Dialog (c) Copyright wersja elektroniczna
zauważyła Nirmala. - Równie dobrze mógłbyś chodzić bos!

- Po co mam trwonić pieniądze? Ponoszę je w domu jeszcze z rok lub dwa. Mnie jest wygodnie, więc dlaczego ty się martwisz? - rzucił przez ramię Śripati.

Zszedł na półpiętro i podniósł słuchawkę.

- Słucham? Mówi Śripati Rao.

W sypialni Nirmala energicznie strzepnęła prześcieradło. Zrobiła to z taką siłą, że wydobywający z niego się odgłos był ostry jak świst kuli. Rozłożyła prześcieradło na łóżku, zebrała całe naręczce czystych koszul, spodni i sari, spiętrzonych na kufrze, który spełniał także rolę stołu, i ułożyła je na środku prześcieradła. Potem ściągnęła razem cztery rogi i związała je w luźny węzeł. Chłopak od dhobiego^[7] będzie tu lada chwila po rzeczy do prasowania, a nie chciała, żeby wyszedł, zanim nie

poinstruuje go, jak prasować jej jedwabne sari. „W niezbyt wysokiej temperaturze” – będzie musiała mu przypomnieć. Ostatnim razem dhobi przypalił w jednym miejscu jedno z jej ulubionych sari.

Znowu się uśmiechnęła. Wiedziała wszystko o listach Śripatiego do gazet. Odkryła jego tajemnicę całkiem przypadkiem, kiedy przeszukiwała kosz na śmieci, chcąc znaleźć kwit na materiał, który bardzo się skurczył w praniu. Dżajn, właściciel Beauteous Boutique, bez paragonu nigdy by nie uznai, że kupiła tkaninę w jego sklepie, choć była stałą klientką. Grzebała w strzępach papieru, poirytowana zwyczajem Śripatiego darcia wszystkiego na cztery części. Jej wzrok przykuł plik starannie zapisanych, spiętych, całych kartek. Czyżby Śripati wyrzucił coś przez pomyłkę? Ku jej zdumieniu był to list do redakcji „The Hindu” na temat fabryki ciężkiej wody, którą otwarto na obrzeżach Toturpuram i która odprowadzała swoje ścieki prosto do morza. Teraz zrozumiała, co tak pracowicie pisał każdego ranka na balkonie. Położyła list na stole i czekała, aż jej powie o swoich bojach staczanych piórem i atramentem. Ale kiedy nic nie powiedział, zdecydowała, że i ona o tym nie wspomni.

Klap-klap! Klap-klap! Nirmala odwróciła się na dźwięk kroków wchodzącego do pokoju męża.

- Kto to był?

- Bóg raczy wiedzieć! Nikt się nie odezwał – odpowiedział Śripati. Poszedł z powrotem na balkon, machając ze złością ręką na wronę, która przysiadła na stole i przyglądała się jego błyszczącym piórom.

- Powinieneś poczekać parę minut. Czasem coś się dzieje z linią i trochę trwa, zanim monterzy wznowią połączenie. – Nirmala żywiła niejasne przekonanie, że nad telefonami pieczę sprawowali

konserwatorzy telekomunikacji, przycupnięci przez cały dzień na liniach telefonicznych wzdłuż drogi.

- Poczekalem, madam, poczekalem! Czekałem pięć minut. Tak się składa, że wiem, jak używać telefonu.

- Dlaczego do mnie mówisz w taki sposób, he? - zażądała odpowiedzi Nirmala. - Tracisz nad sobą panowanie. - Podniosła prześcieradło pełne bielizny. - Nie zapominaj, że dzisiaj jest woda - przypomniała. Jej głos, wydobywający się zza tobołka, był nieco stłumiony - Śripati w ogóle nie widział jej twarzy. Nirmala zamieniła się w dużą, szmacianą, niebieską rzepę. Zaśmiał się głośno, a ona spojrzała na niego badawczo zza tobołka, zdziwiona nieoczekiwanym odgłosem. Przez chwilę wydawała mu się młodą dziewczyną, którą spotkał trzydzieści pięć lat temu w domu jej ojca. Pamięta, iż tamtego wieczoru zjedi sześć bond^[8], po prostu dlatego że był zbyt nieśmiały, aby odmówić kolejnych porcji poczęstunku. Po ślubie Nirmala powiedziała mu, jak zadziwił jej ojca swoim apetytem, i przez wiele lat po ślubie, za każdym razem, kiedy robiła bondy, zawsze się śmiali. Ale śmiech jakoś uciekł z ich życia. Stali się niczym para razem zaprzęgniętych wołów, nieustannie obracających koło wodne, obrót za obrotem, z oczami wbitymi w ziemię, bez najmniejszej nuty ekscentryczności wyróżniającej ich spośród innych par. Odmówili sobie nawet tej przyjemności.

Czekał aż Nirmala opuści pokój, stukając o chłodne płyty podłogi pierścionkami na palcach stóp. Potem znów przejrzał list i starannie złożył go na trzy. Ojciec Schmidt, poza tym że wbił do głów swoich zastraszonych uczniów reguły gramatyki, wyuczył ich także zasad składania listów. Śripati włożył list do koperty i wsunął go do teczki, aby później wysłać go w drodze do pracy. Dwanaście lat temu miałyby

w teczce dwa listy wtulone w ciemną, starą skórę jej wnętrza. Grubszy do Mai, pełny strzępów informacji na temat rodziny, a nawet sytuacji politycznej w kraju, wycinków z gazet, przepisów od Nirmali, ploteczek od Putti, sekretów okresu dojrzewania od Aruna. Śripati ze złością stłumił wspomnienia. Czyż nie wyrzucił swej córki z ich życia?



„Ponieważ wszyscy zapomnieli odprowadzić mnie do domu, muszę się tam dostać sama” – zdecydowała Nandana. Nigdy jeszcze tego nie robiła, ale tato często mówił, że to tylko odległość jednego skoku, podskoku i susa. Znała swój adres, rodzice kazali jej powtarzać niemal codziennie – 250 Melfa Lane, Vancouver, Kolumbia Brytyjska, Kanada, Ameryka Północna, Świat. Tato zawsze dodawał takie zakończenie, co rozśmieszało mamę.

Wydawnictwo Dialog (c) Copyright wersja elektroniczna

- Nie mać dziecku w głowie, Alan.

- Ile razy trzeba jeszcze iść spać, zanim moi rodzice wrócą do domu? – Nandana spytała poprzedniego dnia Kiran Sundarradź. A ona odpowiedziała: – Tylko raz, kochanie. – Ale było już półtora raza. Jej przyjaciółka Ańdźali zdążyła pójść na zajęcia do świetlicy i wrócić, a Nandana nadal była w domu wujka Sunny’ego. Ańdźali, która też chodzi do drugiej klasy, była jej najlepszą przyjaciółką numer trzy, po Molly McNaughton i Yee Loh. Fajnie było nocować u kogoś, mimo że Ańdźali lubiła się dąsać, kiedy nie mogła postawić na swoim.

Wczoraj wieczorem – to była niedziela – przyszło dwóch policjantów i wtedy ciocia Kiran zaczęła płakać. Wujek Sunny wybiegł z domu i jeszcze nie wrócił, kiedy ona i Ańdźali kładły się spać.

Nandana była przerażona. Rodzice nigdy nigdzie nie zostawiali jej na dłużej, niż mówili. Chciała wracać do domu.

Dziś rano zapytała ciocię Kiran, czy mogłaby zadzwonić do rodziców. - Chcę zapytać tatę, czy może mi kupić jabłka fudzi. - Nie chciała zranić uczuć cioci Kiran, mówiąc, że chce iść do domu, więc wymyśliła historyjkę o jabłkach fudzi. Wiedziała, że Ańdzali i jej rodzina zawsze jedzą czerwone makintosze. - Potrzebuję tych jabłek na wzrok - wyjaśniła. Ale Ciocia Kiran powiedziała, że kupi jej, jak pójdzie po południu na zakupy.

- Nie musisz ich, ciociu, kupować. Są u mnie w domu - przypomniała jej Nandana, ale wydaje się, że ciocia Kiran jej nie usłyszała.

Nandana przytuliła swoją szmacianą krowę i wyjrzała przez okno. Trochę mżyło. Podniosła różowo-fioletowy plecak, który tato kupił na jej siódme urodziny dwa miesiące temu. Wypełnił go mnóstwem małych niespodzianek, takich jak: dobrany kolorem komplet grzebyków, butelka błyszczącego fioletowego lakieru do paznokci, dwie książki Roalda Dahla. To była teraz jej ulubiona torba. Na samo dno włożyła swój kocyk z wczesnego dzieciństwa, choć była już zbyt duża, by go potrzebować. Tato poradził, żeby go wzięła na wypadek, gdyby znów poczuła się dzidziusiem. Dopiero od niedawna zaczęła nocować poza domem i czasem od razu chciała wracać.

Kocyk pomoże, jeśli zatęsknisz za domem - powiedział tato.

Nie musisz go nawet wyjmować. Już sama świadomość, że on tam jest, sprawi, że będziesz się dobrze czuć.

Dzisiaj rano próbowała zadzwonić do domu, kiedy ciocia Kiran poszła wziąć kąpiel. Odpowiedziała automatyczna sekretarka. - Mamusiu, tatusiu! Proszę przyjedźcie i zabierzcie mnie do domu - nagrała się Nandana. Potem dodała na wypadek, gdyby zapomnieli, że

spała poza domem: – Jestem w domu Ańdźali. Tym białym, z klonem, za sklepem Safeway.

Nikt do niej nie oddzwonił ani nie przyszedł jej zabrać. Zaczynała już myśleć, że ciocia Kiran zdecydowała się zatrzymać ją tu na zawsze. Czyż nie mówiła często do mamy: – Maju, twoja córka to takie milutkie dziecko. Myślę, że powinnam ją zatrzymać u siebie. – A jej mama się śmiała: – O nie, nie zawsze, wierz mi. Potrafi być prawdziwym utrapieniem. – Klepała wtedy Nandanę po policzku i mówiła: – Ale i tak nie oddałabym jej za miliony dolarów.

Zastanawiała się, czy mama nie zmieniła zdania.

Wydawnictwo Dialog (c) Copyright wersja elektroniczna

Poranek w Dużym Domu



Na parterze dom tętnił życiem. Służąca Koti pod spadzistym azbestowym daszkiem zmywała naczynia po kolacji z poprzedniego dnia. W wiadrach z mydlinami moczyło się pranie. Po zakończeniu zmywania służąca odkręciła mosiężny kran, który bryzgał morską wodą, i zrobiła pranie. Kran był przymocowany do ściany łańcuchem, który trzeba było zdejmować codziennie rano. Śripati z konieczności założył łańcuch po tym, jak ukradziono kilka kranów.

Koti energicznie szorowała garnki i patelnie kłębkiem z włókna kokosowego maczanego w mieszance popiołu i proszku mydlanego, prowadząc przy dźwięku rozpryskującej się wody głośną rozmowę z Putti. Podobnie jak jej brat, Putti była wysoka i ciężka. Wszystkiemu, co robiła, towarzyszyła atmosfera lęku, jakby stale spodziewała się wymówek. Nawet jej chód był bojaźliwy. Czarne włosy, zwisające w postaci dwóch długich, natartych olejkiem warkoczy, sprawiały, że wyglądała jak przerośnięta uczennica. Była szesnaście lat młodsza od Śripatiego. W wieku czterdziestu dwóch lat nadal czekała, aż matka zaakceptuje jakiegoś kandydata na jej męża, choć nadzieja ta, z każdym upływającym rokiem, coraz bardziej gasła.

- Już tyle razy dzwoni ten telefon - zauważyła służąca.

- Jak myślisz, siostrze, kto to może być?

Putti podkręciła koniec jednego warkocza i uśmiechnęła się.

Nie wiem – powiedziała. Jak zwykle była na nogach od trzeciej nad ranem. – Zbudził ją mleczarz Gopala Munnuswami, pukając do drzwi frontowych. Dawniej, zanim na teren Dużego Domu wprowadził się kot i zaczął częstować jej zawartością, zostawiał aluminiową bańkę na werandzie.

– Co się z tobą ostatnio dzieje? – spytała Koti, obrzucając ją przenikliwym spojrzeniem. – Czyżbyś żyła w jakimś innym świecie?

Putti oddaliła się bez słowa z wycementowanej pralni do zaniedbanego ogrodu. W cieniu domu na trawie nadal utrzymywała się rosa, dając jej stopom uczucie przyjemnego chłodu. Putti spojrzała na wielki dom stojący z lewej strony Dużego Domu – świeżo pomalowany na jaskrawoniebieski kolor, zupełnie niepasujący do tej zaniedbanej ulicy. Należał on do Munnuswamiego, miejscowego członka Zgromadzenia Ustawodawczego, który zaczął karierę jako mleczarz, właściciel dwóch krow. Ludzie pamiętają, jak pukał wcześniej rano do ich drzwi i na ich oczach doił krowy, podczas gdy jego dziewięcioletni syn, Gopala, biegał w sąsiedztwie od domu do domu, roznosząc naczynia ze spienionym, ciepłym jeszcze mlekiem. To było trzydzieści cztery lata temu. Teraz Munnuswami był właścicielem domu rodzinnego sędziego Ramana Pillaja, a szeptało po mieście, że także większości nieruchomości przy ulicy Braminów.

Ammajja się oburzyła, kiedy ta pogłoska dotarła do niej

– To już nie jest ulica Braminów. Lepsza byłaby nazwa ulica Krowiego Gówna – powiedziała z goryczą. – Gdybyśmy tylko wiedzieli, że łobuz oszczędzał nasze pieniądze, żeby nas stąd przepędzić, to pilibyśmy wodę zamiast mleka. I byłoby to dla nas wszystkich o wiele bezpieczniejsze!

Choć nie musiał już zarabiać, sprzedając mleko, Munnuswami wciąż utrzymywał gospodarstwo mleczne na skraju Toturpuram. Starzy klienci, tacy jak Śripati, nadal brali od niego mleko, choć taniej było kupić butelkę ze stojącej parę domów dalej budki z mlekiem firmy Awin. Ulubiona krowa Munnuswamiego, Mańdzula, i jej cielę – Rodża, stały uwiązane przy frontowej werandzie świeżo pomalowanego domu.

Putti z poczuciem winy pomyślała o ciemnych oczach Gopali wpatrujących się w jej twarz. Powodowały, że z podniecenia traciła dech. A dziś rano, kiedy podawał jej bańkę z mlekiem, jego twarde ręce musnęły jej dłonie – delikatne, miękkie od ciągłego wcierania pasty sandałowej i kremu. – Uważaj, i niech ci się nie wyslizgnie, Putti akka – powiedział.

Dotyk jego ciepłych rąk sprawił, że o mało nie zemdląła z rozkoszy, choć drażniło ją, iż nazwał ją akka, czyli starsza siostra. Wystarczyłoby samo imię, ale nigdy nie miałyby na tyle śmiałości, żeby mu to powiedzieć. Panna Ćintamani, bibliotekarka z Wypożyczalni Książek „Raghu” i jej wieloletnia przyjaciółka oraz powiernica, poinformowała ją (podpierając się autorytetem czasopisma „Eve”), że tylko kobiety rozwiązały i niemądre bohaterki filmowe pozwalają sobie na okazywanie najskrytszych uczuć i mówienie wprost mężczyźnie, co się dzieje w ich sercach. Tak więc nie odpowiedziała Gopali, tylko pokiwała uprzejmie głową i, z sercem walącym jak młot, wycofała się do bezpiecznego wnętrza swego domu.

– Gdzie jesteś, moja droga? – zawołała ze środka Ammajja.

– Chodź tu, przyjrzyj się mojemu oku, jest takie czerwone.

Putti westchnęła i weszła z powrotem do ciemnego, starego domu. Jeśli natychmiast nie odpowiedziałyby matce, starsza pani zaczęłaby

scenę, płacząc i uderzając się dłonią w czoło oraz oskarżając ją, że jest nieczułą córką.

Weszła do kuchni i uśmiechnęła się do Nirmali, zajętej krojeniem warzyw na popołudniowy posiłek.

- Potrzebujesz pomocy, akka? - spytała.

- Nie, lepiej idź do Ammajji - powiedziała Nirmala, krzywiąc się na widok szwagierki.

- Kto dzwonił?

- Nie wiem. Mogłaś odebrać, prawda? Przecież nic nie robiłaś.

- Aaale... ja nigdy nie wiem, co powiedzieć - wzdrygnęła się nerwowo Putti.

A cóż to za nedorzeczna wymówka? - prychnęła Nirmala Jesteś małym dzieckiem, czy co? Twój brat siedzi tam na górze jak Bóg w niebie, pisząc tu i tam o nie wiem jak ważnych sprawach, twój bratanek śpi do dziesiątej, a ty mówisz, że się boisz plastikowego pudełka. Tylko ja biegam tam i z powrotem jak szalona!

Putti spojrzała na nią z poczuciem winy. Lubiła Nirmalę.

- Dobrze, akka, jeśli znów zadzwoni, przyrzekam, że odbiorę. Myślisz, że to była Maja?

Nie, nie dzwoniłaby w dzień, kiedy jest woda.

- Putti, co tak długo robisz? Chodź tu szybko - zawołała Ammajja lekko rozdrażnionym głosem.

- Idź, idź - szepnęła Nirmala. Jej bransoletki energicznie pobrzękiwały, kiedy kroila w kostki duży bakłażan. - Inaczej powie, że mówimy o niej. Nie chcę żadnych kłopotów z samego rana.

Kiedy Putti weszła do słabo oświetlonego pokoju, który dzieliła z matką, zastała ją siedzącą przy toalecie. Gdy tylko starsza pani w sięgającym podłogi belgijskim lustrze obok swego odbicia ujrzała

odbicie córki, połknęła całą łyżkę ciemnego płynu z jednej spośród wielu znajdujących się przed nią buteleczek.

- Uuch! - powiedziała, zaciskając usta. - Widzisz, moja droga? - pochyliła się do przodu i przyjrzała swej twarzy, pomarszczonej jak zmięta papierowa torebka, jakby oczekując, że zobaczy jakąś cudowną zmianę spowodowaną przez lekarstwo, które właśnie przełknęła.

- A co mam widzieć? - spytała Putti.

Ammajja wskazującym palcem naciągnęła skórę pod prawym okiem i przewróciła gałkami ocznymi.

- Ćintamani powiedziała mi, że zawsze powinno się obserwować oczy. Jeśli są żółte, to jest to żółtaczka albo inny problem z wątrobą. Jeśli skóra pod powieką jest blada, to jest to białaczka. Moja jest zbyt czerwona. Mam wysokie ciśnienie, to dlatego. Czuję, kochanie, jak cały czas krew rozsadza moje żyły.

Wydawnictwo Dialog (c) Copyright wersja elektroniczna
- Nic nie widzę - powiedziała Putti.

- A więc kłamię, tak? Przyjrzyj się dobrze - Ammajja znów wywinęła powiekę. - W każdej chwili mogę wybuchnąć. Ojciec Ćintamani zmarł z powodu wysokiego ciśnienia. Miał tak samo czerwone oczy jak ja, pamiętasz? Ale wszyscy myśleli, że to jakaś infekcja. Zapalenie spojówek lub coś podobnego. Biedak! - Pozwoliła, by do jej oczu napłynęło parę łez i ciężko westchnęła. - Nikomu nie zależy na starych ludziach. Taki jest ten nowoczesny świat. Moja teściowa to miała szczęście, naprawdę. Dzięki mnie dożyła dziewięćdziesiątki.

Putti nie przypominała matce, że ma już osiemdziesiąt lat i jak na swój wiek cieszy się całkiem dobrym zdrowiem.

- Pójdziemy do kliniki doktora Menona - zdecydowała Ammajja. - A może i do wypożyczalni książek.

- Po co mamy iść taki kawał do tego szalonego starca? - narzekała Putti, nadymając usta ponad krzywymi przednimi zębami. - Dlaczego nie do syna doktora Pandita, do którego Śripati chodził z dziećmi? Przynajmniej ma najnowocześniejsze przyrządy do badania serca, krwi i wszystkiego.

- E tam! Ci dzisiejsi lekarze są bezwstydni. Słyszałam, że każą zdjąć z siebie wszystko. Nawet majtki. Po co miałabym chodzić do takich zboczeńców? - Putti powstrzymała się od przypomnienia Ammajji, że przecież nie nosiła majtek.

W mieszkaniu na drugim piętrze osiedla Dźjoti, w bloku A, czyli jednym z dwóch nieciekawych budynków stojących do siebie tyłem - niczym ogromne pudła - po prawej stronie Dużego Domu, otworzyły się drzwi. Birmańska Żona mieszkała tam od ponad pięciu lat, a chyba nikt nie wiedział, jak się naprawdę nazywa. Niektórzy mówili, że pochodzi z Birmy, inni szeptali, że w rzeczywistości była chińskim jeńcem wojennym przetrzymywanym wbrew woli przez posępnego podpułkownika Hansradźa, jej męża. Śripati nigdy nie dowiedział się, czy to prawda, czy tylko historyjka zainspirowana skośnymi oczami Kobiety, jej drobnym ciałem i niemożliwym do zidentyfikowania językiem, w którym klęła na służącą.

Birmańska Żona była niezwykle przesądna i toczyła nieustanny spór z mieszkającą nad nią rodziną, która wieszala pranie na balustradzie balkonu.

Jeśli mokre sari innej kobiety dotknie mojej twarzy, spotka mnie nieszczęście - krzyczała, a jej przenikliwy głos z zaokrągloną, brzmącą z bengalską wymową wypłoszył parę wron z sąsiedniego balkonu. - Zostanę przez to wdową! - Służąca z góry ignorowała ją i nie przestawała rozwieszać prania na balustradzie. Śripati odetchnął

z ulgą, kiedy Birmańska Żona przestała wrzeszczeć i wmaszerowała do swojego mieszkania. Po chwili jednak wyszła znowu, wymachując nożycami ogrodowymi. – A to, żeby nauczyć ich szacunku dla uczuć innych – powiedziała, zauważywszy wzrok Śripatiego. – Niektórych trzeba wszystkiego uczyć, nawet kiedy już posiwieli – z ponurym uśmiechem, ucięła końce wszystkich sari i prześcieradeł, które wtargnęły na jej przestrzeń. Kiedy służąca zorientowała się, co się stało, w mieszkaniu na górze zrobił się ruch. Dziewczyna zawołała panią domu i po chwili wybuchła wojna.

Potem z mieszkania na pierwszym piętrze, zaraz pod Birmańską Żoną, wydobyło się okropne wycie. To Gopinath Najak, młody pracownik administracji państwowej, ćwiczył śpiew. Śripati wzdrygnął się, kiedy tamten zaczął fałszywie starą tamilską piosenkę filmową. Miał ochotę któregoś dnia powiedzieć facetowi, co dokładnie myśli o tych hałasach: „Gopinathu Najaku – powie mu stanowczo – ryczysz jak oślica w czasie porodu. Jeśli się nie przymkniesz, zacementuję ci gardło”.

Spojrzał w dół i uśmiechnął się na widok grupki studentek koledżu ubranych w jasne bawełniane sari, z modnie uczesаныmi włosami, zbliżających się do osiedlowej bramy. Zauważył, jak pani Puma niecierpliwie wygląda ze swego patio na parterze.

– Tu, kochanie, tu – gruchała po tamilsku. – Mama przygotowała to dla ciebie, z dużą ilością cukru, tak jak lubisz. – Po czym nastąpił odgłos całusa.

Śripati westchnął. Biedna kobieta, jak zwykle rozmawia sama ze sobą. W ciągu dnia będzie dalej paplała cichym głosem przypominającym niewielką falę dźwięku niknącą pod powierzchnią towarzyszących jej zawirowań. Około południa zacznie zawodzić.

Będzie się bić w piersi, łapać za swe siwe włosy i błagać Boga, żeby zwrócił jej ukochane dziecko. Czasami, jeśli sąsiedzi się skarżyli, uboga krewna, która opiekowała się nią w zamian za mieszkanie i wyżywienie, wciągała ją brutalnie do mieszkania. Większość czasu pani Purna spędzała jednak na patio, dopóki do domu nie wrócił jej mąż i nie zwabił jej do środka. Przed laty stracili swe jedyne dziecko, ośmioletnią córkę, która, niczym kropla rosy, dosłownie wyparowała z podwórka przed budynkiem. Wszyscy widzieli, jak dziewczynka grała w klasy, ubrana w za dużą sukienkę, która miała jej starczyć przynajmniej na rok. Jej warkoczyki śmigały w powietrzu jak ciemne komety, a jej głosik mieszał się z głosami innych dzieci. I nagle zniknęła. Gurkha, który pilnował bram przez cały dzień, upierał się, że nie mogła opuścić podwórka. Pomimo że upłynęło już tyle czasu, pani Purna nadal czekała na powrót córki. Codziennie robiła słodkie parathy^[9], codziennie wyczekiwała na patio i codziennie żywiła nadzieję.

- Za dziesięć minut będzie woda - zawołała Nirmała, stojąc na dole schodów. - Lepiej zejdź. Jest tu sprzedawca ryżu i nie będę miała czasu.

Śripati odłożył pisanie. Nienawidził tego „wodnego dnia”, wydarzenia, które na ulicy Braminów miało miejsce cztery razy w tygodniu pomiędzy wpół do siódmej a siódmą rano. Z powodu ogromnego deficytu wody pitnej rada miejska regulowała dostawy, puszczając ograniczoną ilość co drugi dzień. Każda dzielnica miała własne dni, kiedy to każdy znajdujący się w domu pojemnik gorączkowo napełniano po brzeg. Śripati wymyślił skomplikowaną sieć węży na parterze, ponieważ woda pitna leciała tylko z kranów w kuchni. Długie zwoje zielonych rur wiły się wzdłuż ścian pokojów jak

prawdziwe węże w ogrodzie, niektóre prowadząc do cementowego zbiornika w łazience Ammajji, a inne wprost do różnego rodzaju beczek, wiader i naczyń w jadalni. Nirmala używała świeżej wody tylko do gotowania, picia i spłukiwania naczyń. Pranie robiła Koli, służąca, w wodzie morskiej, która lała się z kranów obficie przez cały dzień. W rezultacie ich ubrania nabrały żółtego odcienia i zawsze wyglądały jak niedoprane, choć Koti codziennie usuwała z nich brud, energicznie uderzając nimi o granitowy kamień na podwórzu za domem.

Śripati zajął do syna, który miał pokój niemal tej samej wielkości jak on. Arun dzielił go z Mają do czasu, kiedy ona ukończyła szesnaście lat. Potem Nirmala zdecydowała, że dorastająca dziewczyna nie powinna mieszkać w pokoju z osobą płci męskiej, choćby to był jej własny, młodszy brat, więc łóżko Aruna przeniesiono koło schodów, gdzie stało, dopóki Maja nie opuściła domu. Na jednej ścianie pokoju znajdowało się duże okno wychodzące na ulicę przed domem, częściowo chronione przed ostrym, południowym światłem przez pierzasty cień starego drzewa nim^[10]. Na drugiej ścianie były drzwi wychodzące na balkon taki sam jak u Śripatego. Parę lat temu Koti wyszła tam, żeby rozwiesić pranie, i omal nie spadła piętro niżej, gdyż załamała się balustrada. Od tej chwili nikt już nie otwierał tych drzwi.

Po wyjeździe Mai Arun z powrotem wstawił swoje łóżko do pokoju i przysunął je do zamkniętych drzwi. Oszczędny jeszcze jako dziecko, jako dorosły stał się wręcz ascetą. Miał trzy białe koszule i dwie pary spodni. Każdą koszulę zakładał dwa razy w tygodniu, a spodnie trzy razy. Codziennie wieczorem, kiedy się rozbierał, układał je starannie na wieszaku, a potem wieszał na haku w ścianie. Następnie owijał sobie wokół wąskiego pasa jedno z dwóch bawełnianych lungi^[11].

Pokój był jednak pełen książek, teczek i wycinków prasowych. Nawet łóżko siostry, na którym leżał goły materac i niepowleczone poduszki, było założone papierami i notatnikami. Przez ostatnie pięć lat, w przerwach pomiędzy pracami w różnych organizacjach zrzeszających społeczników, Arun pracował nad doktoratem na temat pomocy społecznej.

Śripati z irytacją zlustrował ten papierowy bałagan. Nigdy nie wywierał presji na swoje dzieci, tak jak to robił jego ojciec. Wierzył, że jeśli zostawi je w spokoju, poradzą sobie. Maja, na krótko, dowiodła, że miał rację. Ale jego syn tylko stale go rozczarowywał.

Arun leżał na łóżku, przypatrując się jaszczurce skradającej się po spękanej ścianie za ćmą. Gdy tylko jaszczurka się zbliżyła, ćma niemrawo zatrzepotała skrzydłami i rozpląszczyła się na łuszczącym się wapnie. Wzór na jej skrzydłach przypominał szeroko otwarte oczy. Czyżby rzucała jaszczurce wyzwanie? Arun wyprostował ręce nad głową i uśmiechnął się. „Uważaj – powiedział łagodnie – ta jaszczurka nie jest głupia”. A może ćma zdawała sobie sprawę z własnej śmiertelności i rozgrywała z losem ostatnią grę? Jaszczurka niespodziewanie ześlizgnęła się do przodu, złapała ćmę językiem i błyskawicznie wciągnęła ją do pyska.

Arun odwrócił głowę, słysząc kroki ojca.

– Co robisz? – zażądał odpowiedzi Sripati. – Zejdź i pomóż mi nabrać wodę. Dureń, śpi jak prawdziwy wyrobnik. Miałbyś prawo spać jak oni, gdybyś robił choć połowę tego, co robią ci biedacy.

Arun wstał i wsunął stopy w sandały co najmniej tak samo znoszone jak klapki ojca. Był niskim, krępy dwudziestoosmioletnim mężczyzną, który miał w sobie coś łagodnego. Jedyłą jego wspólną

cechą ze Śripatim był rzucający się w oczy nos, wystający z samego środka twarzy i czyniący ją lekko nieproporcjonalną.

- Nie śpię - powiedział.

- Tak? To co w takim razie robisz, modlisz się?

- Myślałem o...

Śripati nie dał mu dokończyć.

Myślałeś? O czym? Jak ocalić świat? Jak bóg Wisznu? He?

Znów zadzwonił telefon, nie pozwalając mu dokończyć zdania. Przerwał więc, podszedł do okna i wychylił się. Nie widział znajdującej się zaraz pod nim werandy, ale słyszał dolatujące z niej odgłosy.

- W zeszłym miesiącu sprzedałeś mi ten ryż po pięć rupii za kilo, a teraz nagle cena podskoczyła do dwudziestu dwóch? Co za bzdura! Oszukiwać stałą klientkę - słyszał, jak mówi Nirmala. Słyszał też głos sprzedawcy.

Wydawnictwo Dialog (c) Copyright wersja elektroniczna

- Akka, jak możesz mnie oskarżać o kłamstwo? Jesteś dla mnie jak siostra. Czy oszukiwałbym własną siostrę? Spójrz na te ziarna. Toż to czyste złoto! Przechowywane pięć lat na dnie mojego spichlerza. Są lepszej jakości niż te ostatnio. Gotujesz pół fdiżanki i otrzymujesz tak wspaniały ryż, tak puszysty, lekki i pachnący, że masz wrażenie, iż jesteś w kuchni władcy bogów, samego króla Indry^[12].

- Ostatnim razem opowiedziałeś mi tę samą historyjkę - Nirmala nie dała się zwieść elokwencji sprzedawcy.

- Niemożliwe, akka! Nigdy bym nie powiedział tego o żadnej innej odmianie ryżu. Jakże bym mógł? Ten rósł w wodzie samej rzeki Godawari.

- Nie odbierze, dopóki nie skończy tych targów - Śripati spiorunował wzrokiem Aruna, który pośpiesznie wstał z łóżka.

- Ja odbiorę - zaproponował, ale ojciec obrzucił go kolejnym gniewnym spojrzeniem i wyszedł z pokoju.

- Myślę, że to pewnie pomyłka - zasugerował Arun, idąc za ojcem do szczytu schodów i przechylając się przez poręcz.

- To sobie myśl! - mruknął Śripati. - Gdybyś pracował tak usilnie, jak myślisz, już bylibyśmy milionerami. Mu1timilionerami!



Nandana szła do domu. Obok domu z petuniami, który wyglądał jak obrazek z książki dla dzieci, obok rzędu drzew wiśniowych bez wiśni i małego sklepu z napisem „Vancouver Buns”, aż do skrzyżowania, gdzie będzie musiała zdecydować, czy ma skręcić w prawo czy w lewo. Bała się być sama na ulicy, ale wiedziała, że to tylko skok, podskok i sus. Miała się także na baczności przed nieznanymi i pszczołami zabójcami. Przed pierwszymi ostrzegali ją mama i tata. Nigdy nie rozmawiaj z nieznanymi - mówili. - Jeśli podchodzi do Ciebie nieznanymi, zacznij krzyczeć i uciekaj. Nigdy nie przyjmuj nic od kogoś, kogo nie znasz”. „Nawet jeśli proponują ci batonik „Mars”, musisz odmówić” - ostrzegła ją mama, wyglądając przy tym bardzo poważnie. Wiedziała, że to jej ulubiony smakołyk.

Nie znaczy to, że kiedykolwiek pozwolili jej wyjść samej z domu. O nie!

Nandana bała się jednak bardziej pszczoł zabójców. W zeszłym tygodniu oglądała w telewizji program przyrodniczy o Afryce. Pszczoły zabójcy są bardzo niebezpieczne. Mogą zabić jednym użądleniem i bez zmęczenia pokonują ogromne odległości. Nandana nie była pewna, gdzie leżała Afryka w stosunku do Vancouver, ale na mapie świata wiszącej w jej pokoju wcale nie wydawała się zbyt odległa. Ona i Molly

McNaughton przedyskutowały tę sprawę i uznały zgodnie, że było abso-lut-nie możliwe, aby te pszczoły przyleciały do Kanady.

Dlaczego rodzice zostawili ją prawie na całe trzy dni w domu Ańdzali? Nandanie przyszło do głowy, że może zrobiła coś, co ich rozgniewało. Zastanawiała się, co to mogło być. Zabrała do spania swoją ulubioną zieloną piżamę w żółte żaby. Jest na nią za mała i tato chciał, żeby zamiast niej wzięła czerwoną. Poczula się winna, kiedy przypomniła sobie, że zanim przyjechała po nią ciocia Kiran, nie schowała zabawek. Może to doprowadziło tatę do szału.

Stała na skrzyżowaniu, próbując się zdecydować, która ręka jest lewa, a która prawa, kiedy zobaczyła, jak ciocia Kiran, biegnie za nią ulicą.

- Nandu, głuptasie, tak się martwiłam - zaczęła płakać. Polem uparła się, żeby ją nieść przez kawałek drogi, choć była już dużą dziewczynką i o wiele za ciężką. Nandana zgodziła się, żeby jeszcze bardziej nie zdenerwować cioci, ale nogi trzymała sztywno jak dwa patyki, bo czuła się głupio. W końcu ciocia pozwoliła jej zsunąć się na ziemię, i tak było lepiej, pomyślała Nandana. Cały czas jednak musiała iść, trzymając ciocię za rękę, dopóki nie doszły do białego domu za Safewayem.

- O Boże, Boże, to straszne! - zaszlochała ciocia Kiran, jak tylko zamknęła drzwi. - Co teraz pocznie to biedne dziecko?

„Dlaczego - myślała Nandana - ciocia jest tak poruszona tym, że chciałam iść do domu?”.

Wujek Sunny wziął od niej plecak. Był bardzo zasmucony.

- Powinniśmy jej powiedzieć - odezwał się do żony. - Niedobrze jest to przed nią ukrywać. Prędzej czy później trzeba jej będzie powiedzieć. Lepiej zrobić to szybko.

- Chcę do mamy - powiedziała stanowczo Nandana. Zaczynała czuć coś dziwnego w żołądku, jakby pełzały w nim żuki. - Obiecałam tatusiowi, że pomogę mu porządkować gazety na makulaturę. Chcę iść do domu. Proszę.

Ciocia Kiran wydmuchwała nos w chusteczkę higieniczną, którą wyciągnęła z kieszeni džinsów, i zabrała Nandanę do salonu z dużymi kanapami.

- Te kanapy wyglądają jak grubi turyści we wzorzystych koszulach - skomentował raz jej tato.

Mama szturchnęła go w bok i zachichotała. - Nie mów tak przy Pannie Wielkie Ucho. Pójdzie i na pewno wygada.

Akurat! Bardzo dobrze wiedziała, jak nie ranić uczuć innych ludzi. To się nazywa dyplomatyczne zachowanie.

- Kochanie, muszę ci coś powiedzieć - zaczęła ciocia Kiran, mocno obejmując Nandanę.

Wydawnictwo Dialog (c) Copyright wersja elektroniczna

Przypisy

^[1] Dosł. 'matka'; zwrot używany w stosunku do kobiet starszych od rozmówcy.

^[2] Arti — taca z ustawionymi na niej lampkami, zwykle także z kadzidełkami, kwiatami etc., którą przed wizerunkiem bóstwa lub twarzą czy leż postacią osoby wykonuje się określony ruch od strony lewej do prawej.

^[3] Pajsa — 1/100 rupii indyjskiej.

^[4] Bindi — znak, tradycyjnie w kształcie kropki, nanoszony na czoło z cynobru lub pasty sandałowej, współcześnie dostępny jako gotowa, samoprzylepna ozdoba.

^[5] Tu: ceremonia polegająca na nałożeniu na ręce szklanych bransoletek na ręce kobiety spodziewającej się pierwszego dziecka.

^[6] Południowoindyjska tradycja tańca klasycznego.

^[7] Dhobi — pracz, członek kasty pracy.

^[8] Bonda — spora kulka z ciasta z mąki grochowej smażona w oleju.

^[9] Paratha — placek z mąki pszennej pełnego przemiału, w trakcie przygotowywania zwykle dwukrotnie smarowany tłuszczem, składany i wałkowany, następnie smażony na tłuszczu.

^[10] *Melia azadirachtal* *Azadirachta indica* — drzewo, którego kora i liście cenione są ze względu na właściwości lecznicze. Gałązek nimu tradycyjnie używa się w Indiach do czyszczenia zębów.

^[11] Rodzaj ubrania (zwykle męskiego) w postaci prostokątnego materiału sięgającego kostek, owijanego wokół bioder.

^[12] Indra — w mitologii indyjskiej władca bogów.

Wydawnictwo Akademickie DIALOG

specjalizuje się w publikacji książek dotyczących języków,
zwyczajów, wierzeń, kultur, religii, dziejów
i współczesności świata Orientu.

Naszymi autorami są znani orientaliści polscy
i zagraniczni, wybitni znawcy tematyki Wschodu.

Wydajemy także przekłady bogatej
i niezwyklej literatury pięknej krajów Orientu.

Redakcja: 00-112 Warszawa, ul. Bagno 3/219

tel.: (0 22) 620 32 11, (0 22) 654 01 49

e-mail: redakcja@wydawnictwodialog.pl

Biuro handlowe: 00-112 Warszawa, ul. Bagno 3/218

tel./faks: (0 22) 620 87 03

Wydawnictwo Dialog (d) Copyright wersja elektroniczna

<http://www.wydawnictwodialog.pl>